

W OPARACH ABSURDU

Z ŁUKASZEM KAMIŃSKIM ROZMAWIA BARBARA POLAK



B.P. – Każda doktryna, a komunizm nie był tu wyjątkiem, nawet można powiedzieć, był jej klinicznym przypadkiem, jeśli śmiertelnie poważnie traktuje swoją ideologię, już na początku swego praktycznego funkcjonowania przeradza się w jakąś poczwaną formę przez to, że jest tak niestęchanie pryncypialna, nie pozwala na spojrzenie na rzeczywistość w inny sposób, z innej niż własnej perspektywy. Komunizm podtrzymywany aparatem przemocy, oderwany od tego, co było tradycją, sprawdzoną praktyką czy chociażby realnością obszaru, na który został implantowany, sam skazywał się w wielu przypadkach na śmieszność. Pamiętajmy też, że absurd i śmieszność często idą w parze.

Ł.K. – Zgadzam się z tym, ale nie do końca. Musimy rozróżnić różne etapy. Jest faktem, że system komunistyczny kreował wiele absurdów, czy też sam w pewnym sensie był w swoim założeniu absurdalny. Z drugiej strony, w swojej fazie szczytowej, którą dla komunizmu był etap stalinowski, absurd był przestaniany przez grozę. Elementy groteski były widoczne na zewnątrz. Jeśli ktoś w latach pięćdziesiątych mógł się swobodnie śmiać z pewnych absurdów komunizmu, to mógł to robić na zewnątrz systemu. Śmiech był ważny także wewnątrz, ale to już był śmiech przez łzy. Absurdalność systemu w przypadku Polski najpełniej ujawniła się, czy też raczej została obnażona przez społeczeństwo w latach osiemdziesiątych, gdy robiono to w sposób otwarty. To jednak była długa droga – od okresu grozy do obnażenia wprost absurdu i groteskowości systemu. W latach osiemdziesiątych odbywało się już nie cichaczem, nie w kameralnych gronach, ale w sposób otwarty, tak, jak robiła to chociażby Pomarańczowa Alternatywa na ulicach kilku polskich miast. Wyśmiewano właśnie to śmiertelnie poważne traktowanie przez władze absurdalnej rzeczywistości i funkcjonowania systemu.



Fot. P. Życieński

B.P. – Czy wśród działaczy aparatu partyjnego istniała jakaś świadomość groteskowości takich chociażby sytuacji, jak różne okazje, przy których przedstawiciele władzy posługiwali się retoryką czy ceremoniałem rodem z przedwojennych czasów, np. uczestnicząc w uroczystościach religijnych lub państwowych z oprawą religijną, co samo w sobie dla jednych było obrazą Boską, dla innych czystą groteską.

Ł.K. – Przede wszystkim, istnieje bardzo mało świadectw tego, jak myśleli, i jak postrzegali rzeczywistość ludzie partii, zwłaszcza w pierwszych latach Polski Ludowej. Jak się wydaje, w drugiej połowie lat czterdziestych raczej nie postrzegali oni wspomnianych wyżej sytuacji jako groteskowych czy absurdalnych. Istniała grupa działaczy, potępionych już w 1945 r. przez Gomułkę, którzy po prostu nie rozumieli, dlaczego na „obecnym etapie” Bierut musi uczestniczyć w nabożeństwach. Ich pryncypialna postawa wykluczała postrzeganie rzeczywistości w kategoriach absurdu.

Przejawy takiego sposobu myślenia – dostrzegania groteskowości niektórych sytuacji – zaczęły się pojawiać w aparacie znacznie później.

B.P. – Można więc powiedzieć, że rozpoznawanie rzeczywistości i nazywanie jej absurdalną – pomijam całą tę przestrzeń strachu – było domeną rządzonego społeczeństwa. Jego obroną i czasami jego atakiem.

Ł.K. – W sytuacji totalnego ubezwłasnowolnienia w okresie stalinowskim śmiech, obok pogłosek i plotek, był jedną z nielicznych broni dostępnych przeciętnemu Polakowi. Mówi się, że dowcip polityczny i śmiech to jest broń słabych. Pozwalają one z jednej strony lepiej się poczuć, rozładować napięcie i emocje, z drugiej, a może przede wszystkim – osłabiają przeciwnika – wszechpotężnego, kontrolującego sytuację, dysponującego aparatem przemocy, który może z obywatelem zrobić wszystko. Jedyne, co może zrobić obywatel, to właśnie wyśmiać władzę, aparat partyjny, oficjalną propagandę czy kogoś personalnie. Znaczna część dowcipów politycznych przez cały okres peerelu, to były kawały *ad personam*, kpiące z tego, kto Polską rządzi na najwyższym szczeblu...

B.P. – Do klasyki peerelowskich dowcipów politycznych należy ten, który jest zarazem swoistą definicją gatunku – krótkie, śmieszne i do siedzenia. Zawiera się w nim również ta gorzka prawda, że ta broń słabych jest również mało skuteczna, czy też jej używanie rodzi konsekwencje obracające się przeciw jej użytkownikom. Czy da się przytoczyć z okresu stalinizmu jakieś zachowania o charakterze grupowym, jeśli takie były, które ośmieszały władzę, czy pozostało to ośmieszanie tylko w wymiarze „szemrania”, opowiadania sobie anegdot w zaufanym gronie. Chodzi mi o napisy, hasła, okrzyki.

Ł.K. – Wiele było takich zachowań w latach wcześniejszych. W okresie zdobywania władzy pojawiały się takie zachowania, następnie w okresie przejściowym, w latach 1947–1948, kiedy już było jasne, że sytuacja w Polsce potoczy się w kierunku stalinizacji i sowietyzacji kraju. Zanikła wówczas nadzieja na możliwość zmian, rozpoczęto narzucanie społeczeństwu pewnych pożądaných z punktu widzenia władzy wzorców, jak na przykład obowiązkowe uczestnictwo w pochodach pierwszomajowych. W dokumentach archiwalnych z tego czasu znajdują się nieliczne wzmianki wskazujące na to, że ludzie nie zawsze traktowali to ze śmiertelną powagą. Zaznaczanie dystansu do uczestnictwa w pochodzie pierwszomajowym manifestowano nie tylko np. w formie ulotek o charakterze wprost politycznym, kilkakrotnie także urzędy bezpieczeństwa odnotowały wykpiwanie oficjalnych okrzyków. Na przykład zamiast okrzyku „niech żyje 1 maja” czy „niech żyje Stalin” grupy młodzieży skandowały „niech żyje moja teściowa” czy „niech żyje pół litra”. Takie zachowania po 1948 r. zostały jednak spacyfikowane i odżyły dopiero w okresie „odwilży” w 1956 r. Wtedy pojawiły się takie półjawne próby kpiny z władzy. Publicznej kpiny w okresie stalinowskim raczej nie było, mimo że to właśnie wówczas władza zachowywała się najbardziej absurdalnie. Przypomnijmy jej irracjonalne zachowania takie, jak propagowanie miczurinizmu czy łysenkizmu w biologii. Działo się to na masową skalę, istniały kółka miczurinowskie w każdej szkole. Było to absurdalne nie tylko dla ludzi nauki, ale dla każdego człowieka z jakąkolwiek praktyką rolniczą. W okresie stalinowskim nikt z ludzi nauki nie zdobył się, żeby powiedzieć, żeby wykrzyknąć „król jest nagi!”, że to kompletna bzdura. Kontrola nad

społeczeństwem była już tak silna i prowadzona była na taką skalę, że postaw wyśmiewających wprost chociażby te sowieckie idee praktycznie nie było. Wtedy jedyną reakcją były dowcipy opowiadane sobie prywatnie, a nie zachowania publiczne.

B.P. – Za co wzięto się społeczeństwo w okresie „odwilży” przy negliżowaniu lat minionych?

Ł.K. – Częściowo było to obnażanie stalinowskich rytuałów i kultu jednostki, który traktowano śmiertelnie poważnie, a gdy opadły maski, okazał się jednym wielkim absurdem. Nawet z dzisiejszej perspektywy niektóre przydomki nadawane Stalinowi czy Bierutowi są bezsprzecznie śmieszne...

B.P. – ... z tym większą przyjemnością stosowane do współczesnych przywódców państwa...

Ł.K. – W stalinizmie nie było zachowań prześmiewczych czy wręcz szyderczych w sferze publicznej, natomiast jeśli chodzi o liczbę i różnorodność dowcipów politycznych, to był jeden ze szczytowych okresów ich rozkwitu. Oczywiście później przystosowywano je do kolejnych przywódców Polski „ludowej”, czy do kolejnych etapów jej „rozwoju”. One w ogromnej mierze wykorzystywały absurdury zawarte w oficjalnej propagandzie, jak cała grupa anegdot o tym, że wszystkie najważniejsze wynalazki cywilizacyjne były dziełem Rosjan, że Związek Sowiecki jest najbardziej rozwiniętym krajem na świecie itd. Dostrzeżenie absurdu systemu w okresie odwilży wiązało się nie tylko z takimi obnażającymi go zachowaniami, np. w okresie studenckich juwenaliów. Pojawia się nowe zjawisko – ośmieszanie systemu wpłynęło na zachowania władzy, która przynajmniej część z tych najbardziej absurdalnych rytuałów zlikwidowała. Zrezygnowano z wymuszania socrealizmu w sztukach plastycznych i literaturze (jego resztki zachowały się w niektórych filmach). W innych państwach „obozu” ten odwrót nie był aż tak radykalny. Były też zmiany w przestrzeni publicznej. Rzadko się to zauważa, ale Polska była po 1956 r. jedynym krajem, gdzie na masową skalę nie występowały takie elementy „wystroju” miast czy fabryk jak czerwone gwiazdy czy sierp i młot. Na ich brak wpłynęły też spontaniczne reakcje społeczeństwa, ludzie po prostu zrzucali te emblematy. Ten rodzaj zachowań nasilił się zwłaszcza po wybuchu rewolucji węgierskiej, ale to, że nie próbowano tego elementu przywrócić, świadczy o tym, że zdawano sobie sprawę, iż istnieją pewne granice nie pozwalające zastosować skompromitowanego w oczach społeczeństwa systemu kontroli i zewnętrznych jego symboli.

B.P. – Przy niewydolności systemu w sferze socjalistycznej gospodarki zdarzały się takie sytuacje, że brakowało czerwonej materii na te wszystkie dekoracje, nie mówiąc już o kłopotach z czarnym materiałem na kir po śmierci Stalina.

Ł.K. – Czerwień z naszych ulic oczywiście całkowicie nie zniknęła, ale z pewnością w tej dziedzinie byliśmy na ostatnim miejscu wśród państw bloku.

B.P. – Czy znane są jakieś głosy obnażające nie tylko absurd komunizmu, ale również zdecydowanie ośmieszające go ze strony wolnego Zachodu? Bo to ciekawe, na ile Zachód miał odwagę, poza swymi rozgrywkami czysto politycznej natury,

poddać krytyce, a raczej ośmieszeniu, system komunistyczny, którego wyznawców i tam nie brakowało.

Ł.K. – Humor był jednym z oręży zimnej wojny, stosowanym z różnym powodzeniem przez obie strony. Związek Sowiecki i blok komunistyczny były jednym z wzięczniejszych tematów np. dla zachodnich karykaturzystów. Wątek ten pojawiał się także niekiedy w filmach, gdy kpiono np. z wieku i związanych z tym zdolności intelektualnych sowieckich przywódców. Jak się wydaje, w kpieniu z komunizmu przodowali Amerykanie, dla wielu zachodnich Europejczyków, zwłaszcza dla elit, takie żarty były czymś niewłaściwym.

B.P. – **Praktycznie, może z wyjątkiem czasu najtwardszego stalinizmu, istniały legalne pisma satyryczne, kabarety. Władza musiała zostawić, jako wentyle bezpieczeństwa, takie obszary, gdzie śmiech i humor były w pełni dozwolone. Oczywiście pozostaje kwestia jakości tego śmiechu i humoru.**

Ł.K. – I tu była bardzo wyraźnie określona granica między tym, co było dozwolone, a tym co było niedozwolone i, co często za tym idzie, karane. Także po roku 1956. Pozostawiano pewien zakres wolności w kpieniu z rzeczywistości, bo w żadnym razie nie było przyzwolenia na kpiny z systemu, co w innym kontekście bywało nazywane konstruktywną krytyką prasową. To jest osobny problem, na ile tzw. pisma satyryczne, jak choćby „Szpilki”, były naprawdę śmieszne. To, co było ówczesną karykaturą, szczególnie karykaturą polityczną, ograniczało się do rysunków przedstawiających np. zachodnioniemieckich rewanżystów...

B.P. – ...czy obleśnych i tłustych „burzujów”, czyli „wrogów”. Było elementem walki.

Ł.K. – ...bo tak naprawdę dowcipu (w sensie humoru) tam nie ma. Karykatura była najczęściej kolejnym narzędziem walczącej na odlew niczym cep propagandy. Ale oczywiście pewien zakres kpiny z rzeczywistości, z jej niedostatków, był dopuszczalny. Zakres tej strefy dozwolonej ewoluował, zmieniał się. Po 1956 r., z niewielkimi wahaniami, ewolucja szła w kierunku poszerzania tego obszaru dozwolenia. Z początku ograniczało się to do kpiny np. z braków rynkowych, czyli z tych sfer rzeczywistości, których nie dało się ukryć. Było to jednak skupienie się na samym fakcie, bez sugerowania w danym dowcipie czy karykaturze, dlaczego tak jest. Jeśli wskazywano winnego, to był nim kierownik sklepu i na tym poziomie kończyła się analiza. W latach siedemdziesiątych ta granica znów uległa przesunięciu, nie mówiąc już o latach osiemdziesiątych. Wówczas granica dopuszczalności kpiny, np. dla kabaretów, została przesunięta bardzo daleko, mimo że teksty, które „dopuszczano do obiegu”, podlegały regularnej cenzurze. Oczywiście nie wszystko i nie zawsze dało się wyczytać na poziomie scenariusza, często kluczowa była intonacja, zachowanie, mimika, ale pamiętajmy, że cenzorzy też byli obecni na przedstawieniach. Rządzący zezwalali na coraz więcej, czując, że ten wentyl bezpieczeństwa musi być coraz sprawniejszy, żeby umożliwić rozładowanie coraz silniejszych emocji społecznych. Pytanie, czy ta taktyka była na dłuższą metę skuteczna. Wydaje się, że niekoniecznie. Niemniej w Polsce dopuszczono do największej (może poza Węgrami) swobody w sferze legalnej wykpiwania pewnych elementów rzeczywistości.

B.P. – Przychodzi mi do głowy jedyny przykład wysokiego funkcjonariusza partyjnego i państwowego, który pewnie dlatego, że był człowiekiem inteligentnym, więc

stać go było i na autoironię, pozwalał sobie, co ważniejsze, także na ironiczne uwagi pod adresem towarzystwa, w którym tkwił. Myślę o Mieczysławie Rakowskim. Czy można podać jeszcze inne przykłady? Wraz z upływem czasu zmieniał się w jakimś zakresie poziom wykształcenia funkcjonariuszy aparatu i, również w określonym zakresie, poziom ich zideologizowania.

Ł.K. – Z czasem stawali się oni po prostu bardziej cyniczni. Znany jest przykład Franciszka Szlachcica, który z upodobaniem zbierał dowcipy, zwłaszcza te, które do niego osobiście się odnosiły. Jest taka scena z filmu *Życie na podłuchu*, kiedy jeden z oficerów Stasi ośmiela się powiedzieć dowcip polityczny i ponosi srogie tego konsekwencje. Taka scena w filmie o realiach schyłkowego peerelu jest raczej nie do pomyslenia. W Polsce w latach siedemdziesiątych opowiadanie sobie dowcipów politycznych nie było już wykroczeniem w samym aparacie partyjnym czy w aparacie bezpieczeństwa. Raczej było takim wewnętrznym sygnałem dawanym kilku kolegom w węższym gronie, że choć jesteśmy w ścisłym aparacie, ale jesteśmy otwarci, autoironiczni... Jak się okazuje, funkcjonowały nawet specyficzne powiedzonka wewnątrz aparatu partyjnego, nie tylko dowcipy zapożyczone od reszty społeczeństwa. Wojciech Wiśniewski w swoich wspomnieniach przytacza jedno z nich – „Gdy nie orze się i nie sieje, zbiera się plenum”.

B.P. – Czy kiedykolwiek w dziejach peerelu następna ekipa obnażyła absurdalność decyzyjną czy wykonawczą ekipy poprzedniej?

Ł.K. – Tak wprost, nie. Po taką broń raczej nie sięgano, raczej stosowano „rozliczenia” na poziomie czysto politycznym, poważnym i ponurym. Nieoficjalnie dopuszczano pewne aluzje, pewne kpiny dotyczące absurdów minionego okresu (np. w filmie). W elitach władzy nie zdobyto się na taką finezję, aby pogrążyć rywali celnym żartem. Być może dlatego, że większość z potencjalnych dowcipów z równym powodzeniem można było zastosować do każdej kolejnej ekipy.

B.P. – Widziałam kiedyś zbiór satyrycznych i karykaturalnych rysunków jednego z członków biura politycznego KPZR, nie pamiętam, kto to był, być może Łazarz Kaganowicz. One pokazywały naprawdę jego poczucie i absurdu, i śmieszności, i na dodatek zdolności rysunkowe. Może zbyt wiele spodziewam się, dopytując o samoświadomość śmieszności ludzi władzy.

Ł.K. – To może być po prostu poczucie humoru, karykatura zresztą może być też dowodem sympatii... Jeśli chodzi o Polskę, gdybym pokusił się o pewną diagnozę generalną, to mam wrażenie, że niektórzy wśród inteligentniejszych członków aparatu partyjnego, np. Rakowski czy Tejchma (jego dzienniki są też dobrym tego przykładem), rzeczywiście mieli pewne poczucie absurdu, różne jednak od poczucia śmieszności. Absurd widzieli w tej sferze oficjalnej pompy, propagandy. Na przykład Tejchma odczuwał absurdalność faktu nadania orderu *Virtuti Militari* Breżniewowi. Więc to odbywało się na poziomie dostrzegania absurdalności pewnej fasady systemu, ale także dostrzegania absurdu na poziomie politycznym. To jest dobrze widoczne w Marcu 68, świadomość, że partia przejmuje i wykorzystuje w rozgrywce politycznej hasła kojarzące się z zupełnie innymi odłamami politycznymi i w zupełnie innym czasie. Dostrzegano to również w aparacie partyjnym. Czasami trudno

im było pogodzić się z tym, że „ich” władza dochodzi do absurdu. Oczywiście człowiek skrajnie cyniczny, który zawsze ustawiał się w kierunku aktualnie wiejącego wiatru, nie miał tego problemu. Ludzie, którzy – niezależnie od swojej formacji – chcieli trzymać się jakiejś jednej logiki postępowania, choćby wynikającej z ideologii komunistycznej, zaczęli dostrzegać absurdu. Jak choćby ten, że mamy państwo robotnicze, w którym robotnicy nie mają nic do gadania. To nie jest śmieszne, ale jest to sytuacja absurdalna.

B.P. – To jednak pewnie bardziej bolało społeczeństwo, a nie przedstawiciele władz. Wracając do kabaretu, jako formy aktywności pozwalającej odreagować rzeczywistość, dzięki której można już było powiedzieć stosunkowo wiele, pełnił on jeszcze jedną funkcję. Kabaret tradycyjnie jest miejscem dość elitarnym, wstęp do niego mieli tylko nieliczni, na ogół jednak wybrani szczęśliwcy...

Ł.K. – ...w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych kabaret zawitał do telewizji...

B.P. – ...ale to jednak był już trochę inny kabaret, i inne rzeczy w nim się działy. Mówię teraz o czasach znacznie wcześniejszych, latach popaździernikowej „odwilży” ze studenckimi kabaretami „Bim-Bom” na Wybrzeżu, STS w Warszawie, czy krakowską „Piwnicą pod Baranami”, by wymienić najbardziej znane. One wówczas, także później, np. Kabaret pod Egidą, spełniały funkcje miejsc, gdzie bywali także partyjni notable doznający tam swoistego *katharsis* – oto my, tacy jak wy, drodzy obywatele, patrzcie, jak się tu razem z wami demokratycznie bawimy, i śmiejemy się razem z wami. Z wami, to znaczy z pisarzami, ludźmi nauki, lepiej „ustawionymi” inteligentami itd. Dla zwykłego Kowalskiego był radiowy „Podwieczorek przy mikrofonie”, który na ogół porażał wprost przesańczością, i w ogóle pewnie byłby nie do wytrzymania, gdyby nie uczestniczyło w nim kilka aktorskich indywidualności, jak np. Hanka Bielicka.

Ł.K. – Ale był to jednak również wentyl bezpieczeństwa dla pewnej grupy społeczeństwa i dowód na to, że istnieją pewne przestrzenie „wolności”, że pewne rzeczy można było w nich wykpić, wyśmiać. Szedł za tym jeszcze jeden sygnał – było to takie „puszczenie oka”, zwłaszcza do inteligencji. Odbywały się w takich miejscach nieoficjalne spotkania z twórcami, gdzie śmiano się z dowcipów o władzy, a nawet sami ludzie władzy opowiadali różne anegdotki. To były takie komunikaty – też jesteśmy ludźmi, też mamy poczucie humoru, ale są pewne pryncypia...

B.P. – Czy w tym co było anegdotą, dowcipem, opowieścią, tym co ludzie opowiadali sobie z ukontentowaniem, żeby odreagować, były jakieś tematy tabu?

Ł.K. – Jeśli chodzi o wyśmiewanie się z władz, czy rzeczywistości kreowanej przez władze, to raczej nie. Ale w innej sferze były. Są całe serie dowcipów o więzieniu, o tym za co można tam trafić, takie śmianie się z samych siebie, kilkadziesiąt dowcipów o tym, że opowiadanie dowcipów jest karane. Jeden z pierwszych dowcipów, który pojawił się po wojnie w Warszawie – „jaki jest najwyższy budynek? MBP na Koszykowej, bo tam już z piwnicy widać Syberię”. Była ich cała masa, ale one nigdy nie dotykały jednej sfery – śmierci. Z tego nie kpiono, to była strefa święta. Tak było i w następnych latach. W roku 1970 kpiono

z władzy, z własnej kondycji (popularny wierszyk *Jadłospis*), ale nie żartowano ze śmierci demonstrantów. To samo było w latach osiemdziesiątych. Posłużę się znów przykładem Pomarańczowej Alternatywy, która w pewnym momencie dotknęła tego tematu tabu, co spotkało się z natychmiastowym potępieniem. Podczas jednego z happeningów PA ktoś przygotował transparent „Pomścimy Wujka i (mniejszymi literami) – ciocię”. Natychmiast ludzie, którzy przyszli na happening, zareagowali bardzo zdecydowanym sprzeciwem. Można obśmiewać, oswajać grozę, więzienie itd. Ale pewnej granicy nie wolno było przekraczać.

B.P. – W peerelu, podobnie jak przed wojną, istniała osobna kategoria – „dowcip z brodą”.

Ł.K. – To były na przykład dowcipy okupacyjne, które z nieprawdopodobnym nasileniem wracały, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych. Powtarzają się te same tematy, adaptuje się okupacyjne piosenki, jak *Siekiera, motyka*.... Rzeczywistość stanu wojennego uruchamiała nieuchronnie skojarzenia z realiami wojennymi. Podobnie było w czasach stalinizmu. W 1948 r. wydano oficjalnie antologię humoru wojennego, oczywiście antyniemieckiego, która po kilku dniach została wycofana z księgarń właśnie dlatego, że ktoś się zorientował, iż jeśli tylko zmieni się Niemca na Sowietą, to wszystko staje się bardzo aktualne, prawie wszystko pasuje. Do obiegu weszło dopiero drugie wydanie z 1958 r. Co kilka lat powracały falami stare dowcipy, to bardzo charakterystyczne zjawisko. Były to przede wszystkim dowcipy wyśmiewające kolejnych przywódców PRL czy ZSRS. Warto też wspomnieć, że cała gama żartów politycznych miała charakter międzynarodowy, występując w różnych krajach bloku sowieckiego. Dotyczyło to zwłaszcza dowcipów wyśmiewających Sowietów czy też liderów partyjnych. Niezwykle popularne w Polsce powiedzonko (które lubimy do dziś z pewną dumą powtarzać), iż byliśmy „najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym”, było równie popularne na Węgrzech.

B.P. – Czy choć przez chwilę istniało coś takiego, jak dowcipy władzy o społeczeństwie. Krótko mówiąc, czy „oni” się z nas śmiali?

Ł.K. – Nie znam takich przykładów wprost, by oni sami coś takiego wymyślali. Zapewne także i ich sposobem odreagowania trudnej rzeczywistości (a podstawową „trudność” mieli nieustannie właśnie ze społeczeństwem) bywał humor czy żart. Były podejmowane próby instytucjonalnego wprowadzenia takiego elementu, w czasie legalnej „Solidarności” 1980–1981, kiedy wyprodukowano w KC PZPR całą serię karykatur (część być może powstała także w MSW), które wykpiwały strajki, niektórych liderów związku, postawy społeczne itp. Były one rozpowszechniane takimi kanałami, by mogły uchodzić za spontaniczne. Często były odwrotnością karykatur, które produkowała przeciwko władzy „Solidarność”. To jednak było robione na poważnie, jako element rozgrywki politycznej, by złamać tę rodzącą się ludzką solidarność.

B.P. – Bywało, że miejscem, gdzie rodziła się plotka, była безпеaka. Czy pojawiały się anegdoty polityczne z tamtego źródła, skierowane przeciw komuś, kto należał np. do innej frakcji partyjnej, albo właśnie wypadał z obiegu?

Ł.K. – Przed wyborami w 1947 r. produkowano dowcipy ośmieszające Mikołajczyka, a w latach osiemdziesiątych usiłowano rozpowszechniać jakies dowcipy antysolidarność-

ciowe, puścić je w obieg, ale większość z nich przepadała. Jak się wydaje, kręgi szeroko rozumianego obozu władzy nie były miejscem tworzenia popularnych anegdot. Oczywiście zawsze pozostaje pytanie, gdzie tak naprawdę rodziły się dowcipy, np. antymoczarowskie. Na pewno zawsze było tak, że jedna frakcja z chęcią opowiadała dowcipy mówiące o tym, jak głupia jest druga frakcja, ale nie wiemy, czy były zasłyszane i z satysfakcją powtarzane, czy też sami je tworzyli.

B.P. – A opozycja?

Ł.K. – W działalności opozycyjnej, zwłaszcza lat osiemdziesiątych, humor, żart, satyra były bardzo chętnie wykorzystywane. Już w okresie „karnawału” następuje eksplozja żartów, ogromną popularność zyskuje kilka kabaretów, mniej lub bardziej udane dowcipy rysunkowe i karykatury odnaleźć można praktycznie w każdym piśmie związkowym. Także w stanie wojennym, mimo iż czas był to wyjątkowo ponury, dowcip jest orężem podziemia i elementem samoobrony społeczeństwa. W drugim obiegu ukazują się antologie dowcipów, karykatury (zwłaszcza Jaruzelskiego i Urbana) zdobią podziemne kalendarze, ulotki, kartki pocztowe. Powstają zupełnie nowe formy satyryczne, jak na przykład całe serie „banknotów” wykpiwających przywódców i realia PRL. Krążą kasety z „zakazanymi” programami kabaretowymi, Jacek Fedorowicz rozpowszechnia na kasetach video swoje słynne przeróbki „Dziennika Telewizyjnego”. Ukazują się nawet podziemne pisma satyryczne, jak wydawane w Lubinie „Żądło Robola”.

176
GNIĄZDO WRONIE /szopka satyryczna 1981 r./
=====

PROLOG

Trzynastego - chociaż Polska spokojna
Trzynastego - może zdarzyć się wojna
I z jasnego nieba może spaść grom
Trzynastego - drzwi wyważy Ci łom
Trzynastego - wszystko zdarzyć się może
Trzynastego - świat w zielonym kolorze
Trzynastego - może zabraknąć łez
Trzynastego - i pancerni i pies.

Chór więźniów:

Trzynastego grudnia roku ubiegłego
Związali nas ludzie od Jaruzelskiego

Gen. Jaruzelski
/wchodzi sprężystym
krokiem/:

Kto tam jęczy i narzeka ?
Kto tam woła mnie z daleka?
Kto tam w Gdańsku i na Śląsku
Klnie i bredzi coś bez związku?
Mym żołnierskim obowiązkiem
Jest - by skończyć raz z tym Związkiem !
Jest żołnierskim mym zawodem
Lud obronić przed narodem
Wszak on sam się nie obroni -
Po tom jest generał wroni.

malowane dzieci
Nie ma takiej wioski, nie ma takiej chaty
Gdzieby nie dotarły me pancerne chwaty.
Hej, hej wojacy, malowane dzieci
Niejeden awansik wam dzisiaj poleciał!

/Zbliża się Olszowski/
Jaruzelski:

Baczność Stefanie, co macie na planie?

Olszowski:

Oto sukces niebывały! Udało się na-prasę całą
Całą dziennikarską hordę raz nareszcie wziąć za mordę.
Czas wojenny ma swe racje, mogłem zamknąć więc redakcje
I żeby nie było sporów - także kilku redaktorów
Zostały tylko, niestety, niepoczytalne dwie gazety,
Lecz dzięki mej złotej ręce - pokonały konkurencję.

Jaruzelski:

B.P. – Ile wyroków zapadło za opowiadanie kawałów?

Ł.K. – Niestety nie znamy pełnej statystyki, z dwóch powodów. Po pierwsze – nie znamy pełnej statystyki wszystkich wyroków, po drugie – za dowcipy skazywano z tych samych paragrafów, co za „szepitaną propagandę”, za którą w szczytowym okresie zapadało kilka tysięcy wyroków rocznie. Można więc szacować, że w okresie stalinowskim co najmniej kilkaset osób skazano za rozpowszechnianie dowcipów politycznych. Natomiast „satyra” bywała elementem wyroków bardzo poważnych. W okresie stalinowskim była ona nie tylko formą samoobrony społecznej. Znaczna część tajnych organizacji, o różnym stopniu rozwoju, też posługiwała się tą bronią. Wiosną 1945 r. pojawiło się pismo „Sojusznik”, jesienią 1946 r. WiN wydał trzy numery pisma satyrycznego „Szydło”. Także w 1946 r. we Lwowie pojawił się „Sowizdrzał”, kontynuacja satyrycznego pisma z czasów wojny. Wydawano wiele ulotek o charakterze satyrycznym, karykatur. Powstawały satyryczne piosenki, które potem zyskały ogromną popularność, były przeróbki znanych szlagierów, wyśmiewające władzę. W okresie stalinowskim zajmowały się tym między innymi nielegalne organizacje młodzieżowe, których w tym czasie były setki. Jednym z elementów ich działalności bywało rysowanie karykatur, zwłaszcza Stalina. Był on więc nie tylko najbardziej „czczoną” postacią, ale i głównym obiektem satyry. Czasem w aktach spraw przeciw tym organizacjom materiałem dowodowym są właśnie te rysunki. Represje bynajmniej nie zanikły po 1956 r. W 1963 r., po podwyższeniu cen gazu i węgla, ogromną popularność zyskał satyryczny wierszyk, który, mówiąc w dużym skrócie, odnosił się do możliwości znalezienia alternatywnych źródeł energii. Był on przepisywany ręcznie i na maszynach do pisania, w kilka dni obiegł cały kraj. Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła szeroko zakrojoną akcję zmierzającą z jednej strony do ustalenia autora „paszkwila”, a z drugiej do wykrycia osób, które utwór ten kolportowały. W działaniach tych uczestniczyły również struktury partyjne. W efekcie na kilka lat więzienia skazano autora satyry, w stosunku do szeregu dalszych (np. przepisujących wiersz na służbowych maszynach) przeprowadzono śledztwo, zaś setki osób spotkały innego rodzaju represje – nagany, degradacje czy zwolnienie z pracy.

B.P. – Jednym z satyryków najbardziej zniechęconych przez komunistów był Janusz Szpotański, który spowodował, że po raz pierwszy poczuli się dotknięci. Zachowanie Gomułki jest tego dowodem. No i wyrok. Myślę, że czym innym było ideologiczne spojrzenie na dowcip polityczny, a czym innym osobiste poczucie obrazy.

Ł.K. – Przykład Szpotańskiego jest tu przykładem skrajnym. W dowcipach liczba bohaterów wymienianych z nazwiska była ograniczona – I sekretarz, premier, kilka wyrazistych postaci z Biura Politycznego, na przykład Albin Siwak w latach osiemdziesiątych, czy ministrów jak Jerzy Urban, którzy byli zniechęceni i stali się głównymi bohaterami wielu humorów. Jeśli chodzi o Siwaka, to on po latach w swoich wspomnieniach zdobył się nawet na pewną autoironię, jeden z tomów zatytułował *Od łopaty do dyplomaty*. Takich przypadków, jak obrażenie się Gomułki na Szpotańskiego, nie było wiele. W stanie wojennym skazano kilka osób za rozpowszechnianie wierszy czy rysunków wyśmiewających Jaruzelskiego, nie sądzę jednak, by odbywało się to na interwencję generała. To były dla ludzi władzy, po 1956 r., dość delikatne kwestie – takie obrażanie się. Jeden z dowcipów mówił jednak o wyroku za obrażenie jakiejś ważnej figury i dołożeniu kilku lat „za zdradę tajemnicy państwowej”. Bo ujawnienie obrazy nie przywoływało społeczeństwa do porządku, raczej wręcz przeciwnie.